

WSTĘP

Skazany wyszedł z sali rozpraw pilnowany przez konwojentów. Na widok kogoś mu bliskiego stojącego na korytarzu ułożył palce w kwadracik, tak jak kadruje obraz reżyser filmowy, żeby nic nie rozpraszało widoku.

Znałam ten niemy przekaz informacji z innych procesów – „okienko” miało znaczyć pójście za kraty.

Ta książka – zbiór reportaży z głośnych procesów sądowych w latach 1946–1989 – jest takim okienkiem, soczewką w oglądzie PRL z perspektywy więziennej kraty. Bazą materiałową były relacje prasowe z sal sądowych zamieszczone w kilkunastu gazetach wychodzących w tamtym okresie (na końcu pitawalu jest bibliografia tytułów i autorów), akta śledcze i sądowe, wspomnienia obrońców oskarżonych oraz moje reporterskie penetracje.

Tematyka procesów, ich usytuowanie w czasie, zostały tak dobrane, aby w sądowej soczewce pokazały skazanych również w kontekście aktualnej sytuacji politycznej, gospodarczej czy

przemian obyczajowych. Oskarżeni zostali uznani za winnych w rozumieniu ówczesnych (zmieniających się) kodeksów karnych. Z dzisiejszej perspektywy niektóre przestępstwa, np. dewizowe, wydają się absurdalne. Podobnie jak ingerencje cenzury w relacjach z rozpraw. Informacje o tym, co się zdarzyło u skazanych, gdy wyszli na wolność, często odsłaniają zaskakujące zwroty akcji.

Rozdziały książki ułożyłam chronologicznie, jeśli chodzi o czas trwania PRL, ale też w poszczególnych okresach zostały wyeksponowane najbardziej charakterystyczne trendy przestępstw; zwłaszcza że ich tropienie często miało charakter akcyjny.

I tak, w rozdziale I (*Notatnik agitatora*), dotyczącym lat stalinowskich, znajduje się reportaż o aresztowaniu w 1948 roku prawie całej maturalnej klasy z częstochowskiego liceum. Uczniowie byli oskarżeni o spisek przeciwko „podwalinom socjalistycznego państwa”. Proces zorganizowano w hali fabrycznej. Wyroki od 4 lat w górę, a następnie karne bataliony w kopalni. Dotarłam do archiwalnych akt śledczych z procesu, a w III RP odszukałam byłych skazanych i zapytałam, co po odbyciu wyroku zrobili ze swym życiem.

Pokazowy proces w hali fabrycznej odbył się również w Szczecinie w 1951 roku. To był jakby rewers częstochowskiego awersu. Sądono ZMP-wców i działaczy PZPR oskarżonych o brutalne pobicie chłopów, którzy rzekomo nie oddali obowiązkowych dostaw. Ze skazanym Janem Grodzieńskim, I sekretarzem PZPR w Gryficach, rozmawiałam dwadzieścia lat później.

W tamtych latach często zapadały wyroki kary śmierci z powodów politycznych. Dramatyczne procesy AK-owców są dziś powszechnie znane opinii publicznej, więc ominęłam je, układając treść pitawalu. Ale chyba mało kto słyszał o skazaniu na śmierć Adama Doboszyńskiego, przedwojennego narodowca

(w 1936 roku organizatora bojówkarskiego marszu na myślenickich Żydów), oskarżonego o szpiegowanie na rzecz niemieckiego wywiadu. Zarzut – jak się później okazało, całkowicie zmyślony – postawił słynny stalinowski prokurator Stanisław Zarako-Zarakowski.

* * *

Czasy PRL ze swoją konstrukcją ustrojową, opóźnieniem cywilizacyjnym, a także zdeprawowaniem społeczeństwa jeszcze w czasie okupacji (wiele norm etycznych zostało wówczas złamanych, choćby po to, aby przeżyć), były doskonałym podglebieniem dla wszelkiego rodzaju oszustów i hochsztaplerów. Niektórzy z nich zostali zdemaskowani i o ich procesach mówi rozdział II (*W cudzej skórze*).

Z obszernej listy przestępstw wybrałam te, przy których do dziś stoi znak zapytania – czy naprawdę skazano właściwego człowieka, a jeśli tak, to jakie okoliczności doprowadziły do jego uwięzienia.

W powojennym Krakowie niejaki Władysław Mazurkiewicz o wyglądzie filmowego amanta, chętnie widziany w domach niepospolitującej się z ludem przedwojennej (acz zubożałej) arystokracji, aby szastać pieniędzmi, w brutalny sposób pozbawiał życia handlujących nielegalnym złotem i dolarami. Jego wieloletnia bezkarność wynikała z protekcji UB. Proces i kara śmierci okazały się szokiem dla krakowskiej socjety.

Jacek Silberstein vel Jacek Śliwa stanął przed sądem jako fałszywy konsul generalny Austrii w Polsce. Na swoje prymitywnie spreparowane „dyplomatyczne” listy uwierzytelniające, napisane w wymyślonym przez siebie języku, nabrał wielu wysokich urzędników. Głośny proces Śliwy obnażający zaściankowość i nieuctwo PRL-owskich prominentów wywołał gogolowski śmiech na całą Polskę.

W 1962 roku na ławie oskarżonych pod zarzutem brania łapówek za magisterskie dyplomy ukończenia Wydziału Prawa i załatwianie korzystnych wyroków usiadł Julian Polan Haraschin, docent prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Zasłużony dla AK w czasie okupacji, kawaler Orderu Virtuti Militari. W trakcie procesu okazało się, że chlubny życiorys to mistyfikacja. Haraschin w czasie okupacji współpracował z Gestapo. Z więzienia wyszedł po pięciu latach. Zmarł przed otwarciem archiwum IPN, w którym znalazły się dowody, że w latach pięćdziesiątych był z awansu wojskowym sędzią. Bił rekordy w wydawaniu wyroków śmierci dla politycznych. W czasie procesu Haraschina o tym nie mówiono.

Częściowe uchylenie w latach siedemdziesiątych żelaznej kurtyny, a równocześnie piętzenie trudności z legalnym przekroczeniem zachodniej granicy, kusiło do ucieczek z kraju. Niektórym się udało, ale więcej było porażek zakończonych wieloletnim pobytem za kratami.

22 lipca 1971 roku dwaj młodzi rybacy z Darłowa, Bogdan M. i Krzysztof G., porwali z plaży małych chłopców i uzbrojeni w kałasznikowy zaczęli uciekać kutrem w kierunku wyspy Bornholm. Grozili, że w razie zatrzymania użyją dzieci jako tarczy. Zostali aresztowani daleko od brzegu, na pełnym morzu, bo zabrakło im paliwa. Na szczęście nikt z ostrzeliwanych nie zginął.

Adwokat oskarżonych eksponował na procesie zasługi ojca Bogdana M., żołnierza I Armii odznaczonego za męstwo Orderem Virtuti Militari, honorowanego za partyjne zasługi. Prokurator wskazywał na pasożytniczy tryb życia obu rybaków, którzy ucieczką w Święto Odrodzenia zakpili z ludu pracującego miast i wsi.

W 2011 roku ojciec Bogdana M. (który dawno już odsiedział wyrok, ale nie wiodło mu się w III RP) wmawiał młodemu reporterowi, że ma syna bohatera: narażał swoje życie, aby dotrzeć na Zachód i przedstawić prawdę o rządach komunistów.

* * *

Siermiężna Polska Ludowa miała być w rozumieniu jej partyjnych bonzów wolna od zgnilizny Zachodu. W czasach Gomułki bezkarnie zamykano w więzieniach nie tylko za poglądy polityczne. Specjalny korpus milicji obyczajowej wyznaczony był do inwigilowania hotelowych schadzek.

Na polecenie Gomułki seksualnych gorszycieli szukano głównie wśród ludzi wolnych zawodów. Do aresztu trafił pisarz Ireneusz Iredyński, znany z upijania się i prowokującego władzę sposobu bycia. Oskarżony o gwałt na nieletniej, został skazany na trzy lata więzienia. W kawiarniach nie bez racji mówiono, że rzekoma ofiara – pasierbica pracownika MSW – była podstawiona.

Natomiast Edward Gierek usiłował odizolować od zdrowej masy zdeprawowanych nastolatków. Przez kraj przetoczyła się fala procesów pod jednym akcyjnym hasłem. Raz są to gwałty, kiedy indziej narkotyki czy pasożytnictwo.

W 1971 roku odbył się głośny proces 18 wyrostków z Nowego Dworu, oskarżonych o gwałty i sadyistyczne zamordowanie jednej z ofiar. Terroryzowali miasto, zamieszkałe przez rodziny wojskowych. Młodociana publiczność na sali sądowej demonstrowała solidarność z oskarżonymi. Przez prasę przetoczyła się dyskusja specjalistów od wychowania, którzy zastanawiali się, co się stało z naszą młodzieżą, bo na ulicach pojawili się nie tylko hippisi, ale i sataniści. Ci ostatni wypisywali nocą węglem na murach: „Przybądź Antychryście”.

* * *

Łapówki, przemyt, kreatywna, jak byśmy dziś powiedzieli, księgowość, kradzież państwowego, czyli niczyjego, jest specyfiką spraw sądowych opisanych w rozdziale IV (*Mów do ręki*).

„Czerwona Oberża” to kryptonim w śledztwie przemytników złota i dolarów z Nowego Targu. Ich miejscem kontaktowym była knajpa w Szaflarach, własność N., nazywanego bankierem Podhala, bo już jako członek Goralenvolku handlował z okupantami złotem, a w PRL miał na swych usługach szajkę przemytników. Zyski były duże, ryzyko wpadki jeszcze większe, a za niesubordynację bankier groził samosądem.

Proces biesiadników „Czerwonej Oberży” otworzył ciąg rozpraw sądowych w całym kraju z paragrafu o przestępstwach dewizowych. Zarzuty nielegalnego przemycania zabronionych towarów otrzymywali olimpijscy sportowcy, np. słynna mistrzyni biegów narciarskich z Zakopanego, delegowani służbowo urzędnicy, piloci samolotów, marynarze dalekomorscy, kolejarze na trasach międzynarodowych. Dla początkujących giełda „gdzie co schodzi” pulsowała w kolejkach po paszporty i bony dewizowe PKO. Profesjonaliści niezajmujący się detalem mieli na swych usługach kurierów dyplomatycznych i przekupionego prezesa Centralnego Urzędu Ceł.

W 1975 roku zaczął się głośny proces Witolda M. i ks. Leona D., oskarżonych o nielegalny wywóz z Polski do Austrii dzieł sztuki za kilkadziesiąt milionów dolarów. W Wiedniu unikatowe dobra polskiej kultury kupował po zaniżonych cenach antykwariusz B., Żyd pochodzący z Polski. Z Zachodu szmuglowano złoto, które było wymieniane na polskim czarnym rynku na dolary, aby ponownie kupić za nie złote sztabki w wiedeńskich bankach.

Proces spowodował obłężenie warszawskiego sądu. Publiczność ziała nienawiścią do oskarżonych, zwanych złotogłowymi głównie dlatego, że tak sprytnie potrafili się wzbogacić. Mimo utajniania niektórych rozpraw wyszły na jaw powiązania oskarżonych z zainteresowaną wpływami na swe zagraniczne konta bankowe komunistyczną władzą.

Było natomiast powszechne społeczne przyzwolenie na kradzież dobra państwowego. Na Lubelszczyźnie, blisko granicy ze Związkiem Radzieckim, miejscowa ludność wyspecjalizowała się w rabowaniu pociągów towarowych. Milicja wpadła na trop złodziei w szczególnych okolicznościach: w 1972 roku w Święto Zmarłych na cmentarzu w Rejowie większość kobiet miała na sobie fabrycznie nowe płaszcze Mody Polskiej w białą-czarną kratę. Mężczyźni natomiast zdradzali dziwne upodobanie do tyrolskich kapeluszy. To był początek prokuratorskiego dochodzenia.

Okazało się, że ludzie noszą ubrania, które kilka dni wcześniej zginęły z pociągu zatrzymanego pod semaforem koło Rejowa. Było to stałe miejsce napadów na wagony z towarami jadącymi na wschód. „Czyszczenie” składów odbywało się w zмовie z kolejarzami... Złodziei w końcu złapano (ich miejsce zajęli następni), odbył się proces. Cenzura wycięła z relacji sądowych informację, że pociągi jechały do granicy ze Związkiem Radzieckim.

W jakich okolicznościach mogli doczekać się prokuratorskich zarzutów wysocy funkcjonariusze partyjni? Kiedy zmieniła się władza. W 1971 roku Kazimierz J. z Bielska-Białej oraz jego bracia – mordercy, przemytnicy złota i precjozów jubilerskich z RFN – dogadują się z dyrektorem Departamentu I MSW gen. Mirosławem Milewskim, że za pomoc w przerzuceniu ich majątku, ukradzionego jubilerom w RFN, resort otrzyma połowę tych dóbr.

J. wjechał do Polski z podstemplowanym przez celnika zaświadczeniem: przewożone rzeczy stanowią mienie przesiedleńcze. Jego wyładowany złotem mercedes był tak przeciążony, że tuż za Odrą, już na polskiej stronie, w samochodzie wysiadły resory. Oficer Departamentu I zabrał towar do Warszawy na Rakowiecką swoim transportem. Podobny los czekał bagaż, który dotarł do Polski z Hamburga w wagonach kolejowych.

Po tygodniu Kazimierz J. przyjechał na Rakowiecką, aby podzielić się z oficerami swoim mieniem, ale ci uprzedzili go – walizki ze złotem i brylantami były już częściowo opróżnione. Dostał znacznie mniej, niż ustalono. Kazimierz J. otworzył w Bielsku-Białej restaurację „Czerwony Kapturek”. Była to przykrywka nielegalnego handlu towarami z RFN, głównie złotem. Po telefonie z resortu milicja patrzyła na to przez palce.

Parasol ochronny MSW nad Kazimierzem J. i jego braćmi utrzymywał się do 1984 roku, kiedy to frakcja Kiszczaka chciała się rozliczyć z byłym szefem resortu Mirosławem Milewskim. Została powołana Komisja MSW, z przewodniczącym gen. Władysławem Pożogą, która miała ustalić, w czyje ręce dostały się najcenniejsze precjoza z majątku braci J. Jednakże nie natrafiono na żaden ślad zaginionych tysięcy kamieni szlachetnych ani złota.

Były minister spraw wewnętrznych twierdził, że w 1971 roku o operacji „Żelazo” zameldował ministrowi MSW Szlachcicowi, a ten ówczesnemu kierownictwu partii. Ale nie miał pojęcia, że bracia J. są gangsterami i mają na sumieniu morderstwa. O faktycznym charakterze sprawy „Żelazo” dowiedział się dopiero w 1984 roku. W KC postanowiono nie przekazywać akt prokuraturze. „Wyłącznym motywem była racja stanu” – napisano w uzasadnieniu.

Pod koniec roku 1980 sypanęły się procesy tzw. nababów PRL. W październiku minister budownictwa Adam Glazur kazał swemu asystentowi, aby od dyrektora „Stolbudu” odebrał klucze do jego nowej willi w Popowie. Asystent polecenia nie wykonał, bo sprzeciwiła się zakładowa „Solidarność”. Nowi związkowcy zażądali obciążenia ministra pełnymi kosztami budowy, a w razie niewpłacenia pieniędzy – przekazania budynku załodze „Stolbudu” na dom wczasowy.

Nazajutrz do gabinetu ministra weszli kontrolerzy NIK. Ich raport posłużył prokuratorowi do sporządzenia aktu oskarżenia.

Adam Glazur otrzymał zarzut wyłudzenia materiałów budowlanych i innych, potrzebnych do wyposażenia willi pod klucz, na sumę 2 mln 630 tys. zł (przeciętna płaca w 1984 roku wynosiła ponad 16 tys. zł). Koszty pracy brygad z kilkunastu przedsiębiorstw nie zostały wliczone.

Ponadto minister miał odpowiadać przed sądem za marnotrawstwo państwowych pieniędzy wydanych na upominki dla osób, na przychyłności których mu zależało. Nie chodziło tu o tradycyjne breloczki do kluczy, długopisy czy kalendarze. To już nie były siermężne czasy Gomułki. Jeśli beneficjent mieszkał w Polsce i coś znaczył, np. zasiadał w centralnych organach administracji państwowej czy w Komitecie partyjnym, mógł liczyć na prakkę automatyczną, radio, magnetofon stereo, aparat telefoniczny w modnej obudowie retro albo kupon wełny bielskiej na garnitur. Słowem wszystko to, czego daremnie by szukać w świecących pustką sklepach.

Adam Glazur zapytał w ostatnim słowie, dlaczego to on został posadzony w ławie oskarżonych. „Przecież wszyscy dookoła tak robili, inni bogacili się bardziej nachalnie”. Prosił o uniewinnienie. Sąd przyjął, że były minister zagarnął mienie społeczne wartości 1,7 mln zł i skazał go na 7 lat więzienia, 150 tys. zł grzywny oraz przepadek willi w Popowie.

Mijał ósmy rok rosnącej potęgi telewizyjnego imperium prezesa Macieja Szczepańskiego, gdy w kraju zaszły zmiany na froncie politycznym. Mieczysław Moczar, który przegrał walkę o stanowisko I sekretarza KC PZPR, wyładował na nie dość prestiżowym dla niego fotelu prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Postanowił się odegrać, kompromitując Gierka oraz jego ekipę. Szczepański był na celowniku. Materiał dochodzeniowy z przesłuchania podejrzanego przygotowywało kilkunastu prokuratorów. Ich finalne dzieło – akt oskarżenia – liczyło 120 tomów akt. Przed sądem

prezes miał stanąć pod zarzutami niegospodarności i zaboru mienia państwowego.

W marcu 1981 roku, po siedmiu miesiącach przeżytych za kratami, Maciej Szczepański napisał z aresztu do Sądu Wojewódzkiego: „Chcę jak najszybciej procesu. To dla mnie ostatnia chyba szansa obrony dobrego imienia i honoru”. Na pytanie sędziego, czy przyznaje się do winy, oskarżony oświadczył, że niczego nie ukradł, przed sądem znalazł się w wyniku prowokacji politycznej. – Nie budowałem się za państwowe pieniądze, nie zagarniałem pod siebie – mówił oskarżony w ostatnim słowie. – Owszem, łamałem przepisy, bo były złe. Teraz wiem – należało się nie wychylać, nie ryzykować. Dziś nikt nie odpowiada za miliardy strat wynikłych na placach budowy, za wstrzymane inwestycje, bo tam wszystko było robione zgodnie z przepisami. Po dwóch latach walki o swoje dobre imię nie mam już sił.

Uklonił się sędziom i usiadł.

Ogłoszono wyrok: 8 lat więzienia, 300 tys. zł grzywny, konfiskata samochodu volkswagen i wkładów oszczędnościowych na trzech książeczkach. Z powództwa cywilnego Radiokomitetu Szczepański miał zapłacić na rzecz tej instytucji 2,5 mln zł odszkodowania.

* * *

W „okienku” nie zmieściło się wiele procesów, wspierających tezę tego pitawalu. Dla poskromienia objętości książki trzeba było wybierać.

W mojej szufladzie pozostał zakończony wyrokami śmierci proces z 1952 roku bikiniarzy z warszawskiej Woli – braci Wałachowskich, którzy dla mołojeckiej sławy i z chęci zdobycia broni zabijali milicjantów na służbie. O skazanych, jako bohaterach walczących z aparatem ucisku, śpiewali uliczni grajkowie. Dziś trwa dyskusja, czy prochy tych pospolitych bandytów powinny

spoczywać na tzw. łączce, obok szczątków takich bohaterów, jak gen. Fieldorf czy rotmistrz Pilecki.

Z galerii wielkich mistyfikatorów wypadł Marian Kargul, przedwojenny domokrążca żydowskiego pochodzenia. W PRL zbierał niezasłużone ordery, odznaczenia, zasiadał na trybunach honorowych, cieszył się szczególnymi względami władz. Nie miał wykształcenia, ale docierał na wysokie pokoje partyjnych dygnitarzy, bo za pieniądze potrafił wykonać każde polecenie. Proces, w którym został skazany na 12 lat, toczył się w pamiętnym roku 1968.

Zrezygnowałam też z umieszczenia w rozdziale II (*W cudzej skórze*) relacji o procesie Jerzego Pawłowskiego, „pierwszej szabli PRL”, który przez 11 lat prowadził podwójne życie jako major Ludowego Wojska Polskiego i amerykański agent. Zdemaskowany w 1976 roku, został skazany na 25 lat więzienia i degradację do stopnia szeregowca. Dziewięć lat później znalazł się w drużynie szpiegów bloku wschodniego, wymienionej za szpiega Mariana Zacharskiego, któremu przypisywano, że ukradł Amerykanom, między innymi, plany rakiet „Phoenix” i „Patriot”.

Rozdział III (*Przybądź, Antychryście*) został odchudzony przez usunięcie z niego reportażu o śmierci Kiki, młodzieńczej dziewczyny z Krakowa, której nagie, martwe ciało znaleziono zimą 1958 roku na dachu kawiarni w „Grand Hotelu” w Warszawie. Na polecenie Gomułki, któremu nie podobało się organizowanie wyborów miss Polski, jako zbyt wyuzdanych, UB puściło plotkę, że ofiara to była wicemiss Polski. W związku z tym zawieszono organizowanie takich imprez. (Konkurs zniknął na 25 lat). Tak naprawdę, dziewczyna, która zginęła, była szukającą mocnych wrażeń nastolatką z Krakowa. Do hotelu poszła z poznanym w pociągu wykładowcą Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC. Mocno piła i aby się ochłodzić, usiadła na parapecie, z którego spadła dwa piętra niżej. Dla uniknięcia partyjnego skandalu śledztwo zostało umorzone.

– „Wszyscy wyciągali łapę” – powiedział przed sądem w 1979 roku agent bardzo popularnych w Warszawie barów „Horteksu”, oskarżony o przekupywanie dystrybutorów deficytowych artykułów potrzebnych do produkcji łodów.

Ten reportaż też wypadł z pitawalu, jako zbyt często przywoływany w różnego rodzaju wspomnieniach z czasów PRL. Trudno o bardziej celną w swej lakoniczności ocenę metody „mów mi do ręki” w czasach odgórnie sterowanej gospodarki. W normalnych warunkach oskarżonego powinno się nagrodzić za przedsiębiorczość w wysłizgiwaniu się z pęt centralnej dystrybucji w sytuacji, gdy na rynku brakowało już wszystkiego. Z kupieckim talentem, ale też na bakier z przepisami, korumpując państwowych urzędników, sięgając lewą ręką do prawej kieszeni, zdobywał poza przydziałem deficytowe artykuły (np. zanieczyszczone, a więc tańsze rodzyнки przebierali mu więźniowie). Dzięki tak zdobytemu produktowi bary „Horteksu” były oazą słodkich dóbr na gastronomicznej mapie Warszawy. Po skazaniu agenta lokale padły.

Metoda koperty pod stołem rzadko kiedy służyła państwowemu przedsiębiorstwu. Agent „Horteksu” to chlubny wyjątek. Zazwyczaj był to sposób na wzbogacenie się zarządzających lewymi dochodami.

Skok na kasę w lubelskiej cukrowni Klemensów był powodem postawienia przed sądem w 1972 roku dyrektora tego przedsiębiorstwa. Przekręt polegał na zawieraniu fikcyjnych kontraktów na uprawę buraków, za które wypłacano lewe pieniądze. Buraków przybywało tylko w raportach księgowości, natomiast tonące w błocie place składowe były prawie puste. KW PZPR, w ramach gierkowskiej odnowy, wysłał do cukrowni reportera, aby udawał wagowego i rozszyfrował beneficjentów. Okazało się, że potomkinowskimi plantatorami byli głównie wysocy urzędnicy ministerialni z Warszawy, koledzy dyrektora cukrowni. Surowe wyroki,

jakie zapadły na tym procesie, miały być ostrzeżeniem dla innych kombinatorów w państwowych zakładach.

Akt oskarżenia Kazimierza Tyrańskiego, dyrektora centrali eksportowo eksportowo-importowej „Minex”, dotyczył łąpówek wartości ponad 100 mln zł otrzymanych za poparcie interesów zagranicznych firm handlowych.

Prokurator żądał 25 lat, obrońca dowodził, że jego klient był rzutkim menedżerem, potrafił sprzedać na Zachód nasze wątpliwej jakości materiały budowlane. Dostawał od zagranicznych kontrahentów prowizje dlatego, że tamci nie działali w gorszej sztywnych przepisów jak w PRL. Tyrański przed sądem kajał się, mówił: – W Mineksie byłem tylko pachciarzem rodzimych prominentów, którym wobec braków rynkowych w Polsce ciągle musiałem coś z zagranicy sprowadzać. I to wikłało mnie w zobowiązania wobec zachodnich klientów.

Został skazany na 15 lat.

Takich procesów, które w kryminalnej panoramie PRL znaczyły coś więcej niż tylko jednostkowe sprzeniewierzenie się kodeksowi karnemu, uzbierało się w mojej szufladzie kilkanaście. Niektóre z nich tu zaszygnowałam, bo są znamienne. Może kiedyś ktoś odkurzy pozostałe.

Winna jestem Czytelnikom jeszcze jedno wyjaśnienie. W przeważającej większości moich reportaży prawdziwe nazwiska oskarżonych zostały zmienione bądź kryją się pod zmyślonymi inicjałami. Tylko w przypadkach, gdy zapadła kara śmierci i wyrok do dziś budzi wątpliwości, podałam prawdziwe dane. W PRL nie było ochrony danych osobowych uczestników procesów sądowych. W relacjach sprawozdawców osoby posadzone na ławie oskarżonych już od pierwszej rozprawy występowały z imienia i nazwiska. Rzymska zasada, że póki nie zapadnie wyrok, oskarżony jest niewinny, była ignorowana. Dziś respektowanie tego

WSTĘP

wymogu należy do podstawowych kanonów etyki dziennikarskiej; co nie znaczy, że w mediach, zwłaszcza elektronicznych, nie jest on łamany.

Na koniec kilka słów podziękowania. Nie byłoby tej książki, gdyby nie pomoc kilku osób. Jestem wdzięczna mojemu bratu Bogdanowi, który jako menedżer z wieloletnią praktyką na Zachodzie wskazywał mi na paradoksy PRL-owskich procesów gospodarczych w warunkach obowiązującej centralizacji zarządzania.

Panu Michałowi M. Lisieckiemu, prezesowi Platformy Mediowej Point Group, wydawcy tygodnika „Wprost”, zawdzięczam możliwość drukowania w tym piśmie pierwszej wersji reportażu o procesach karnych w PRL. Ułatwiło mi to kontakt z Czytelnikami, mającymi coś istotnego do powiedzenia na interesujący mnie temat.

Sędziemu SN Wiesławowi Kozielowiczowi, przewodniczącemu IV Izby Karnej, chciałabym wyrazić słowa wdzięczności za cierpliwe oraz zrozumiałe dla nieprawnika komentarze do obowiązujących w PRL kodeksów karnych, a także wyjaśnienia, jak to wyglądało w praktyce.